

Nie wiedzą że to strach zostać samemu w ciemności

Salvatore Quasimodo

Taka biel w Twoim ciele. Kryształ albo marmur. Gdybym nie bał się chłodu, dotknąłbym. Wciąż zachwyam się tym, co nieznane, nawet jeśli kuli lub więzi. Muszę się Wam do czegoś przyznać. Zbliżając się do końca, można sobie przecież pozwolić na więcej niż zazwyczaj. Dlatego walę prosto z mostu i mówię jak jest: już mi się nie chce. Pakuję swoje rzeczy i składam serwetki, zbieram do starej puszkę – ulubione breloczki, korki po winie, małe żołnierzyki, żółte wstążki, pasemka włosów. Może masz rację, dziecinniej na starość, jeszcze tylko brakuje abym zaczął ćwierkać i cmokać. Bolesnie czuje tę przepaść, której nie potrafię zasypać. Tę wyrwę pomiędzy tym, kim byłem dawno temu, a tym kim już nigdy nie będę. Kręcę się w kółko, próbuję odtworzyć swą drogę, ale płaczę się jeszcze bardziej, nabijam się na dzidy, na igły, na słowa i powiem Wam szczerze, że ta opowieść już mnie męczy, bo muszę wdrzeć się swymi wspomnieniami tam, gdzie nie mam ochoty powracać i nie wiem w sumie dlaczego rozdrapuję te dawne rany, te skrawki wścieklej burzy, które już zaschły, zasklepiły się, zgasły. Na dodatek coraz częściej zapominam, czyli tracę. Codziennie zapominam mocniej i szybciej, piękniej i dokładniej, odważniej i... Co Wam będę gadał, robię się bezradny i bezzasadny. Ja, Mistrz w radzeniu sobie z ludźmi, arcymistrz formowania wyobraźni, tytan władania słowem, staję się nieistotny, blady i przezroczysty. Od kilku lat szwankuję coraz wyraźniej. Szwankuje mi głowa i wzrok, pamięć i ciało. Zamieniam się w drżącą kulę, która przelewa się przez niczyje palce i toczy się w jakąś niejasną stronę, nie wiedząc gdzie zakotwiczyć, skoro nie ma dla mnie miejsca ani tu, ani tam.

Ale dość już o mnie. Z mojego ciała wyrastają nieistotne znaki i niewiele mnie jeszcze zostało. Wciąż potykam się o jabłka, ziemię i kamienie. Mam dowód osobisty i setki dowodów na nieistnienie. Wydaje mi się, że miałem dobre życie, które – choć popękane – warto jeszcze raz poskładać, stworzyć je na nowo tuż przed metą. Pamięć przychodzi zwykle jak intruz, rozpycha się łokciami i strąca na bruk błogi spokój. Na dodatek jest zardzewiała i smutna. Niczego nie odbija, nie przywołuje, nie zachęca. Jest w istocie martwa, bo zbiera bezrefleksyjnie ślady, fakty, kręte sekwencje zdarzeń.

Ale ty pisz dalej, nie zatrzymuj się, dojdziemy dziś do końca, złamiemy kod i postawimy mur obciekający wyblakłą krwią. Będziemy z siebie potem bardzo zadowoleni. Dwie mordy obciekające światłem, dwa pobrudzone pomniki, których nikt dotychczas nie wznosił. Wręczymy sobie medale, wstążki i będziemy lepić się lukrem.

Gdy wieczorami leżę z wywalonym językiem dochodzę do wniosku, że bezsenność to mój dom. Często włóczę się brzegiem rzeki w poszukiwaniu zaginionych snów, wpatrzony w rozchodzące się fale, wpadam w apatię, wysycham. Ja jestem dla ciebie tą rzeką, a ty kamień. Rosnący, wciąż większy i bardziej pożywny.

Gdzie jesteś? Myślę o niej znów zbyt wiele, w czym nie ma ani krzty sensu. A jednak odkrywam przyjemność oddania się lepszym ciałom, wyśnionym, przywoływanym z pamięci, odkrytym na nowo w momencie gdy wieko skrzyni jest już uchylone, a ze środka spoziera ciemność. Podczas takich chwil moje twarde i pozbawione uczuć serce pęka, a ona przychodzi do mnie znów niespodziewanie, bezszelestnie, odnowiona i młoda siada mi na kolanach, dotyka nosem mojego ucha i powtarza: to i tak nie potrwa dłużej, niż do pierwszej gwiazdy. Patrzę więc w niebo, gwiazd nie widać za cholerę, choć przecież są ich tysiące. Wielka czarna dziura została zatrzymana w ruchu tuż nad moją głową. Więc to wszystko trwa? Tak, kochanie, trwa. I nie kończy się nigdy? Wręcz przeciwnie, moja droga, posuwa się do przodu, potem gwałtownie się cofa, wierzga nogami, wyjeżdża i znika, aż czuję jak zatapia mnie nieznana mi woda. To nieobecne, nieznane, obce, mówi do mnie moim alfabetem.

A potem wsiadła w samochód (potem? po czym? po życiu? po ważnej decyzji? po ostatecznym fiasku?), przekręciła kluczyk w stacyjce i zakaszła w rękaw. Ocean nie poruszył się ani o milimetr. Nie włączyła świateł, choć mrok już zapadał i na masce samochodu rozkraczyła się ciemność. Czy pragnęła pozostać niewidoczna, czy raczej niewidzialna? Nasunęła na głowę kaptur, biały kaptur, kaptur boży, kaptur starej bluzy bez kaptura i nic... włączyła muzykę i nic... Mówiła coś do siebie i nic... Co mnie oplata nocą, co we mnie zamiera? Ostre dźwięki The Stooges pozwalały jej przetrwać, utrzymywały ją wciąż na powierzchni. Był zimny poranek. Gdzieś w oddali iskrzyły dwa kable biegnące przez słomiane dachy chat. To tam, w jednej z nich ktoś na nią obsesyjnie czekał. Zapowiadał się dzień utyskiwań, jęków i wybaczeń. Zerknęła na tragicznie ciemne niebo, nie poznała żadnego z pozostałych ciał niebieskich.

Co ja robię w tym cudzym śnie, pomyślała, tracąc czucie w zdrętwiałych palcach. Poruszyła nimi jeszcze kilkukrotnie, po czym zgięła je w taki sposób, aby kierownica samochodu nie wyslizgnęła się jej z dłoni. Wdepnęła pedał gazu jeszcze mocniej. Pisk opon. Gorące powietrze zawisło na szyi. Tunel, w którym na szybach samochodu migają pnie brzoźowych drzew ujawnił jakąś jasność na odległym końcu.

Z zaskoczeniem zauważyła, iż nauczyła się o nim nie myśleć. Nie była pewna czy była to klęska czy powód do dumy, ale po raz pierwszy od wielu tygodni nie myślała o nim, nie dzwoniła, nie starała się za nim nadążyć. Nauczyła się tego w ciągu ostatnich tygodni i im bardziej była z tego faktu dumna, tym bardziej bolało ją, że to już, że doszła do tego miejsca, w którym ziemia zapada się ale szybko zarasta ją zieleń. Zostało jej więc wzruszenie ramion i wyruszenie w samotną drogę pośród ciemnych chmur, w niemożliwy rejs, o którym niczego nie wiedziała (ani tego jak się zakończy, ani tego w jakim celu wyrusza w tę drogę), poza tym, że jest konieczny i nie ma sensu pytać o szczegóły. Nie była pewna, kiedy się zatrzymać, przystanąć, wywiesić przezroczystą flagę.

Przez chwilę pomyślała o czystych, alabastrowych ciałach, których w życiu widziała tak wiele, o ciałach zimnych, lepkich, smukłych, sinych i wysportowanych – i nagle poczuła ulgę. Pogodziła się z przestrzenią w której tkwiła, z mrokiem, który oplatał jej dni i noc. Przymknęła oczy, otarła z twarzy płatki róży. Spojrzała przez przybrudzoną szybę w otchłań majaczącą i drżącą, umykającą przed nią w nieznanym kierunku. Zapatrzyła się w lśnienie, w tunę niewiadomego pochodzenia, którą raptem ujrzała głęboko w sobie. Ktoś, kogo nie znała, dotknął jej ramienia. Poczuła w ustach słony smak. On nigdy się nie dowiedział co ujrzała w tamtej chwili, domyślił się jednak, że musiało wydarzyć się wówczas coś szczególnego. Jej prace z tamtego okresu nie pozostawiają złudzeń – życie, w każdej postaci i w każdej formie, musi znaleźć ujście, musi wymknąć się temu, co je dławi. Niczym trawa, która przebija się przez kraty, przez płyty cementarne i otwory w ziemi.

Być może dzisiaj już wie, jak ważne jest, aby wykorzystać każdą szczelinę w tej skorupie, która kładzie się na nas i betonuje każdą myśl, aktywność i emocję. Alabastrowe ciało, ciężkie wieko, żelazne kleszcze, marmurowe drzwi – kolejne stopnie wtajemniczenia prowadzące w organiczną ciemność. Punkty napięcia pomiędzy lekkością i wirtuozerią, a ciężarem, który został rzucony na nasze plecy przez czas.

Przypomniała sobie o samochodowych światłach, które zapomniała włączyć, cholera, jestem niewidzialnym punktem w krainie mgieł, szepnęła i jeszcze przyspieszyła. Pisk opon. Coś stuknęło w podwozie. Samochód pędził ponad sto na godzinę krętymi drogami, które pchały ją coraz wyżej, ocierając jej ciało o najniższe warstwy chmur. Nie zdawała sobie z tego sprawy, w jakim stopniu opanowała ją efemeryczność życia, upływ czasu, pogoń za niedostępnym. Ale co z tego wynika? Co dalej? Pochłonięta dziesiątkami myśli oddalała się w coraz większym stopniu od powierzchni błahych spraw. Coraz bardziej niepokodzona ze sobą, niepasująca do reszty, zanikająca w niedbałych gestach i barwnych szczegółach.

Nie wiedziała dlaczego jej życie do pewnego momentu przypominało ciągłą ucieczkę, szkołę opuszczania ludzi, wymazywania pamięci, miejsc i oddechów.

Zastanawiała się dlaczego tworzyła od wielu lat sztukę zbudowaną z cienia, kamienia, metalu, zimnego ciała i niewidzialnej dla nikogo innego wstążki. Sztukę, której treścią były nade wszystko rozstania, o których mogła mówić w nieskończoność, pławić się w ich chłodzie i mroku. Tym razem jednak jechała do niego. Tak jej się przynajmniej z początku wydawało. Pogodziła się z tym, że nie mogła odczytać cyfr nieznanego kodu potrzebnych do rozszyfrowania jednej nieznannej tęsknoty.

Przyspieszyła, puste ulice mijanych miast przypominały kamienną pustynię, przez którą pędziła coraz odważniej, mijając podświetlone szyldy, dmuchane kukły i neony rzucające błękitne, mleczne światło na resztki tego, co zostało.

Nie wiedziała dlaczego łzy napłynęły jej do oczu. Znów sól w ustach. Za chwilę wyjechała na autostradę. Zagapiła się. Nie zjechała w odpowiednią drogę. Wiedziała, że przez wiele następnych kilometrów nie będzie żadnego zjazdu, że wszelkie drogi powrotu zostały odcięte. Pozostała przestrzeń wyprostowana jak kiepski generał. Szttywna jak kamienne ciało. Raptem dotarło do niej jak rzadko się śmiała. Szukając nowych dróg, nowych sytuacji, metafizyki i poezji, żyła śmiertelnie poważnie, traktując każdy dzień w sposób ostateczny. Ale przecież jej zawsze chodziło o coś więcej, niż o życie. Sunęła w sam środek oceanu z przeświadczeniem, że nie należy rozpraszać się śmiechem, błahym słowem, zbytelnym gestem. Warto skupić się na istocie tej króciutkiej obecności, którą należy umieścić w kontekstach najbardziej wiarygodnych przeznaczeń.

Był dla niej ważny. Nauczyła się mówić mu o swych uczuciach. Przełamała wiele własnych granic. Zaczęła nawet okazywać czułość i łagodność. Teraz jednak sunęła pustą autostradą niepewna tego dokąd zmierza. Wszelkie miasta, domy i hangary zostały daleko w tyle. The Stooges. Kochać jak to łatwo powiedzieć. Alabama Song. Perkusja bez wyraźnego rytmu. Nie chciała już czekać. Prowadził ją głos, który znał doskonale wszystkie jej tajemnice. Światła. Kto by ciemną nocą o światłach pomyślał? Jestem niewidzialnym punktem w krainie mgieł, pomyślała raz jeszcze. Deszcz. Krople kotów. Trzask gdzieś poza nią. Księga. Otwarta i twarda. Słony, słony, najśłodszy. Tak wiele płatków naraz.